



STANISŁAW JABŁOŃSKI

Kraków, 11 czerwca 1945 r. Prokurator dr Wincenty Jarosiński, członek Komisji dla Badania Zbrodni Niemiecko-Hitlerowskich w Oświęcimiu, przesłuchał w charakterze świadka byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Oranienburgu Stanisława Jabłońskiego, nr obozowy 128 286.

Świadek zeznaje:

Nazywam się Stanisław Jabłoński, ur. 31 maja 1904 r. w Krakowie, syn Edwarda i Katarzyny z Czyżowskich, rzymski katolik, mistrz stolarski, narodowości i przynależności państwowej polskiej, zamieszkały Czyżówka 29, obecnie pod tym samym adresem.

Dnia 2 lipca 1944 odbyły się w Krakowie masowe aresztowania, w czasie których zostałem i ja zatrzymany. Do mieszkania przy ul. Czyżówka 29 weszli w nocy przez okna trzech policjanci niemieccy i jeden gestapowiec i przeczytawszy z kartki moje nazwisko polecieli mi ubrać się i iść z nimi. Równocześnie zabrali ze mną mego brata Adama, rzekomo w charakterze świadka przeciwko mnie.

Z mieszkania zabrano mnie na posterunek przy ulicy Zamojskiego, a stąd następnie w większej grupie przewieziono nas autem do obozu w Płaszowie. Aresztowanie moje nastąpiło w nocy. W tym dniu aresztowano w Krakowie i okolicy około dwa tysiące ludzi i wszystkich ich zgrupowano w obozie. Do rana musieliśmy stać na polu, a rano wpędzono nas do baraków. Przez dwa dni z rzędu nie dostaliśmy nic do picia ani jedzenia, a żywili nas tylko ludzie z zewnątrz i współwięźniowie Żydzi. I jedni, i drudzy robili to wbrew zakazowi władz obozowych, narażając się na różne szykany z ich strony.

W obozie przetrzymano nas wszystkich przez tydzień zupełnie bez przesłuchania, a raczej przesłuchania rozpoczęto już po trzech dniach, ale mnie przesłuchiowano dopiero w ósmym

dniu. 9 lipca 1944 roku wezwano mnie do kancelarii i tu odbyło się przesłuchanie. Prowadzili je czterej gestapowcy, którzy z powodu panującego upału byli do połowy obnażeni, ubrani jedynie w spodnie. Przesłuchanie polegało na tym, że gestapowcy wmawiali we mnie, iż jestem porucznikiem, a raczej oficerem Armii Krajowej, że znam członków organizacji, ich pseudonimy, które rzekomo mieli zapisane w znajdującej się przed nimi grubej książce, że wiem, gdzie ukryta jest broń i amunicja. Ja wszystkiemu temu zaprzeczałem. Po spisaniu protokołu gestapowcy przystąpili do ponownego przesłuchania. Tym razem zadali mi pytanie, czy należałem do organizacji, a gdy temu kategorycznie zaprzeczyłem, skuto mnie kajdanami amerykańskimi, założono na twarz tzw. maskę i poczęto niemiłosiernie bić kijami po całym ciele i głowie, a następnie zadawać inne pytania. Wszystkim zarzutom stawianym mi zaprzeczałem do czasu, dokąd mogłem wytrzymać. Gdy czułem, że mdleję i że – gdy dalej będę zaprzeczał – przesłuchujący mnie gestapowcy zabiją mnie, przyznałem, że u mnie w warsztacie ukryta jest broń i amunicja, co nie odpowiadało prawdzie. Wówczas gestapowcy szybko ubrali się, mnie zdjęli maskę i skutego wsadzili do auta, by przewieźć na ulicę Czyżówka. Po przybyciu na miejsce zażądali, bym wskazał miejsce ukrycia broni, a gdy wyjaśniłem im, że tylko na skutek bicia i dla uniknięcia dalszych razów wprowadziłem ich w błąd oraz wyjaśniłem, że o ukryciu broni nic nie wiem, polecili mi z powrotem natychmiast wsiąść do auta. Już w czasie drogi jeden z gestapowców uderzył mnie pięścią w twarz tak, że zalałem się krwią. Ponieważ auto było otwarte, a ja byłem zakrwawiony, polecono mi zasłonić twarz kapeluszem.

Po przybyciu z powrotem do obozu wprowadzono mnie do pokoju, w którym odbywało się pierwsze przesłuchanie. Już w drzwiach jeden z gestapowców kopnął mnie w ten sposób, że upadłem na ziemię. Wtenczas wszyscy czterej poczęli mnie z powrotem bić kijami i kopać po całym ciele. To torturowanie trwało przeszło godzinę. Bito mnie tak długo, aż zemdlałem, a następnie wyrzucono mnie na pole. Po odzyskaniu przytomności zauważyłem w grupie, w której się znajdowałem, swego brata. On również opowiadał mi, że w czasie przesłuchania gestapowcy bili go i zmuszali do przyznania się do przynależności do AK oraz do potwierdzenia, że ja do AK należałem. Przedstawiali mu oni, że ja te okoliczności potwierdziłem. Od współwięźniów tej grupy dowiedziałem się, że mamy być przewiezieni do więzienia na Montelupich. Na skutek pobicia mnie przy przesłuchaniu byłem przez kilka miesięcy ciężko chory i zupełnie nie mogłem władać lewą ręką. W tym samym dniu, tj. 9 lipca 1944, przewieziono mnie wraz z innymi, skutego, autem ciężarowym do więzienia na Montelupich. Na miejscu ustawiono nas na podwórzu więzienia twarzami do muru i wtedy

usłyszeliśmy trzask zamków karabinów ręcznych. Moi współwięźniowie popadali na kolana, jedni modlili się, inni płakali, a ja – będąc zupełnie zmasakrowanym – po prostu na to nie reagowałem. Po godzinnym pobycie na podwórzu wprowadzono nas kolejno do piwnic więziennych. W piwnicach umieszczono nas po kilkudziesięciu, a przebyliśmy w nich do następnego ranka, 10 lipca. Mnie i jednego pułkownika WP jeszcze przed wprowadzeniem do piwnicy, SS-man Ukrainiec zbił tłuczkiem po całym ciele, ale za co, tego nie wiem.

Na Montelupich przebywałem około dwa tygodnie. Z końcem lipca poczęto więzienie opróżniać, przeto niektórych więźniów zwalniano, wielu rozstrzelano, a wreszcie pewną część – w której byłem i ja – wywieziono transportem kolejowym do Gross-Rosen.

Wywieziono tam wówczas około tysiąca więźniów, a załadowano ich do wagonów po 120. Razem z nami uciekali z Krakowa gestapowcy z ulicy Pomorskiej.

Do Gross-Rosen przybyliśmy po trzydniowej jeździe, o godzinie siedemnastej. Po przybyciu na dworzec polecono nam szybko wysiąść z wozów, a następnie, po upływie około pół godziny, przepędzono do obozu koncentracyjnego oddalonego od dworca o dwa kilometry.

Przy przejściu przez bramę obozową oczekiwali nas już gestapowcy i SS-mani, którzy bez najmniejszego powodu kopali nas i bili kijami, harapami, gdzie popadło. Wielu z nas zostało wtedy poranionych. Następnie popędzono nas, również wśród bicia, na plac apelowy. Na placu tym ustawione były stoliki, przy których starsi więźniowie spisywali nasze dane osobowe. Każdy z nas otrzymał numer, który wieszano mu na szyi, a następnie na rozkaz SS-manów musiał szybko rozbierać się, ubranie i bieliznę rzucać na kupę, buty wiązać i udać się do łaźni. Ta rejestracja trwała do rana. Ja dostałem się na blok numer 9 o godzinie piątej. Obóz w Gross-Rosen liczył wówczas około 20 bloków. Później zbudowano nowe. Stan liczebny więźniów wynosił około 13 tysięcy, ale liczba ta stale wzrastała. Blokowym bloku nr 9 był Niemiec. Był to człowiek stosunkowo znośny, ale za sztabowych na bloku miał Iwana, sowieckiego jeńca wojennego, i niejakiego Zakrzewskiego z Krakowa, nieukończonego prawnika, którzy byli ludźmi szczególnie złymi. Były to „dzikie bestie”. Katowali oni więźniów bez względu na wiek, a specjalnością ich było kopanie w żołądek i części rodne. Ci dwaj sztabowi okradali nas w straszliwy sposób z jedzenia, zabierali nam dodatki, które następnie sprzedawali lub dawali innym więźniom za jakieś świadczenia. Byli oni homoseksualistami. Do tych celów używali młodego chłopca, również Polaka, który – wykorzystując władzę swych protektorów – znęcał się nad innymi więźniami, szczególnie inteligencją. Bił bez miłosierdzia nawet starych więźniów (bykowcem).

Jedzenie dawano nam wprawdzie bardzo liche, ale ilościowo mogłoby ono zaspokoić głód, gdyby nas nie okradano. Warunki higieniczne były fatalne, bowiem na jeden blok wpędzano nas tysiąc osób. Blok nie mógł tyłu ludzi pomieścić. Nie było w ogóle łóżek. Spaliśmy na siennikach na ziemi. Były pchły, wszy i bardzo brudno, słoma była zupełnie starta, a spać mogliśmy jedynie w pozycji skurczonej i wszyscy na jednym boku. Obrócić się było można jedynie na komendę. O spaniu nie można było marzyć nawet, a jedynie czasem można się było zdrzemnąć, gdyż tylko w nocy można było załatwić potrzeby naturalne. Wprawdzie na bloku były ustępy, ale było ich zbyt mało dla tak wielkiej liczby więźniów i przez cały dzień były zamknięte.

Praca nasza polegała na noszeniu z kamieniołomów kamieni pod budowę nowych bloków. Kapo w tym komandzie byli przestępcy pospolici, Niemcy, którzy specjalnie nas szykanowali. Gdy wzięto się mały kamień, wówczas bili z tego powodu, że za mały nosi się ciężar, gdy zaś wzięto się za wielki kamień, to i tym razem bili, polecając przenosić małe kamienie. Na tym bloku przebywałem dziewięć dni, po czym go opróżniono, ponieważ miały przyjść transporty powstańców warszawskich. Ja dostałem się na blok roboczy nr 20. Na tym bloku *Stubedienstem* był Polak z Poznania, Leon Szwadra. Był to skończony łotr, który, wykorzystując swoje wpływy na sali, bez najmniejszego powodu znęcał się nad współwięźniami, szczególnie Polakami.

Po trzytygodniowym pobycie w Gross-Rosen przeniesiono mnie jako fachowca do Owińska (Treskau koło Poznania). Była tam Junkerschule SS, w której kształcono przeważnie volksdeutschów i Ukraińców. Pracowało nas tam stu. Mieszkaliśmy w piwnicach, wentylowanych bardzo słabo, bo jedynie za pomocą okienek o rozmiarach 40 x 40. Pracowaliśmy przeważnie przy budowach. Zwierzchnikiem tego komanda był *Lageralteste*, Niemiec, człowiek szczególnie zły i morderca nazwiskiem Szpinak. Przed moim przyjściem z komanda liczącego sto osób zamordował on 80. Szpinakowi podciął gardło brzytwą młody Rosjanin, więzień, który w ten sposób zemścił się za krzywdy współtowarzyszy.

W Owińsku przebywałem do 20 stycznia 1945, w którym to dniu z powodu zbliżania się wojsk radzieckich przewieziono nas transportem kolejowym do Oranienburga. W obozie umieszczono nas na bloku 38, muzułmanów. Blokowy, nie chcąc byśmy muzułmianieli, a z drugiej strony zdając sobie sprawę z tego, że tamci żyć nie będą, okradał ich z jedzenia, a nam dawał większe porcje. Muzułmanie musieli także pracować. Zajęci

byli przy wyciąganiu drutów ze starych kabli elektrycznych czy telefonicznych. Marli oni masowo. Trupy zmarłych w obozie w Oranienburgu, tak samo jak i w Gross-Rosen, spalano w krematoriach. W Gross-Rosen było jedno krematorium stałe, drugie polowe. W Oranienburgu była również komora gazowa.

Czy było ich więcej, względnie czy było więcej krematoriów, tego dokładnie nie wiem. Z opowiadania innych więźniów wiem, że palono również w dołach i gazowano w komorach, lecz ile tych komór było, nie jest mi wiadomo.

Na bloku tym przebywaliśmy przez dwa tygodnie, a zajęci byliśmy tą samą pracą co muzułmanie. Po tym czasie dostałem się na blok 29, do komanda *Ballonbau*.

W Oranienburgu były dwa obozy – duży i mały. W obozie dużym samych baraków mieszkalnych było 62. Prace były różne: poza normalnymi obozowymi, więźniowie pracowali przy budowach, naprawach dróg, w warsztatach szewskich, krawieckich, stolarskich, w których wykonywano prace dla wojska, a nadto przy wyładowywaniu zrabowanych w okupowanej Europie towarów, zapasów żywności i bydła, przy ostatnich czynnościach zatrudnione było tzw. *Waldkommando*, do którego zadań należało przetransportowywanie tych towarów w głąb lasów, gdzie je ukrywano.

W komando *Ballonbau* pracowało dwustu więźniów. Mieszkaliśmy w obozie, a do pracy udawaliśmy się o półtora kilometra dalej. Miejsce, gdzie pracowaliśmy, było ogrodzone w sposób identyczny jak obóz. Praca nasza polegała na budowaniu i naprawianiu balonów zaporowych oraz budowaniu zbiorników na gaz ziemny. Zatrudnieni tam byli więźniowie różnych narodowości, a przede wszystkim młodzi Rosjanie. Pracami kierowali trzej Niemcy, z których jeden był przynależności państwowej szwajcarskiej. Był to człowiek dobry, podczas gdy pozostali dwaj dyrektorzy Niemcy obchodzili się z nami brutalnie. Faktycznymi kierownikami robót byli inżynierowie Polacy, więźniowie. Pracowaliśmy w dziesięciu wielkich barakach, przy czym podzieleni byliśmy na grupy fachowe, z których każda pracowała w swoim dziale. Ja pracowałem przy naprawie skrzyń. Wprawdzie warunki pracy były stosunkowo niezłe, gdyż nie bito nas tak jak normalnie w obozie, ale za to wyżywienie było bardzo złe. Dostawaliśmy na śniadanie kawę i początkowo 25, a następnie 15 dkg chleba na dobę, obiadu nie dostawaliśmy, dopiero na kolację około litra lichej zupy. Pracowaliśmy ciężko i to 12 godzin na dobę. Razem ze mną pracował Franciszek Muczyński z Orzechówki,

pow. Augustów, który z powodu choroby musiał pozostać w obozie. Tadeusz Rychliński z Prokocimia, który poszedł na Zachód, Franciszek Wołek z Izdebnika, Andrzej Korzeniak z Podgórze, ul. Serkowskiego (czuł się bardzo kiepsko i nie wiem, co się z nim stało), Franciszek Szczypiński z Czerwonego Prądnika (wyjechał na Zachód) oraz inni, których nazwisk nie pamiętam, a znam ich jedynie z imienia.

W czasie mego pobytu w Oranienburgu przeżyliśmy dwa ogromne bombardowania miast, w czasie których ucierpiał także sam obóz. W obozie spaliły się tylko trzy baraki, ofiar w ludziach nie było, ponieważ wszyscy byli w pracy. Amerykanie bombardowali w dzień, a nalatywali w olbrzymich wprost ilościach samolotów. Po dwóch bombardowaniach z wszystkich fabryk w Oranienburgu zostały tylko gruzy, a z więźniów zatrudnionych przy pracy zginęło około dwa tysiące, w tym około trzysta kobiet. Dlaczego nie zbombardowano *Ballonbau*, tego nie wiemy, ale przypuszczamy, że nie był to ważny obiekt przemysłowy.

W zimie 1944/45 przychodziły do Oranienburga transporty więźniów z innych obozów. Przewożono ich w otwartych wagonach mimo silnego mrozu. Ja sam na własne oczy widziałem, jak wyładowywano transport takich więźniów. Były wagony, w których nie było ani jednego żywego, jedynie same trupy, a w innych tylko nieznaczna część żyła, ale i ci cierpieli na odmrożenia. Z opowiadania innych więźniów wiem, że takich transportów było więcej. Trupy zamrożonych wyrzucano i układano na stosach, a następnie wywożono do krematoriów i spalano.

21 kwietnia 1945 roku nastąpiła ewakuacja obozu w Oranienburgu. Więźniom polecono wstać wcześniej rano, dano im po jednym chlebie i kawałku kiełbasy i w grupach po pięćset osób eskortowanych przez SS-manów i więźniów Niemców popędzono nas w kierunku Lubeki. Więźniów chorych wywieziono wcześniej ze szpitali, ale dokąd, tego nie wiedzieliśmy. Jedni twierdzili, że do komór gazowych, inni zaś, że do innych obozów. Transport nasz zajęły 2 maja 1945 wojska amerykańskie w Schwerin w Meklemburgii. W czasie podróży Niemcy popędzali nas, gdyż chcieli jak najszybciej dostać się do niewoli amerykańskiej, obawiając się wpaść w ręce sowieckie. Z powodu narzuconego szybkiego tempa, bicia i wyczerpania wielu więźniów w czasie transportu umarło, a bardzo wielu zastrzelili SS-mani. Rozstrzeliwania te były masowe. SS-mani strzelali do każdego, kto nie mógł iść. Droga nasza prowadziła stale przez las, a byliśmy obserwowani przez samoloty amerykańskie. 24 kwietnia 1945 spotkaliśmy w lesie przedstawicieli Kanadyjskiego Czerwonego Krzyża, który wyszukiwał

po lesie grupy więźniów i zaopatrywał je w jedzenie. Dzięki interwencji przewodniczącego tej grupy, która nas spotkała, uniknęliśmy dalszych masowych rozstrzeliwań ze strony eskortujących nas Niemców.

2 maja eskorta nasza, uformowawszy się w szeregi, udała się na spotkanie wojsk amerykańskich, którym zamierzała się poddać, zostawiwszy nas w lesie bez nadzoru. My również udaliśmy się następnie w stronę Schwerinu, gdzie spotkaliśmy wojska amerykańskie. Po drodze zaopatrzyliśmy się w żywność, którą zabraliśmy z pozostawionych przez Niemców aut. Aut tych były tysiące. Trafiliśmy szczęśliwie, gdyż w wojsku amerykańskim spotkaliśmy dużo Polaków, którzy przyjęli nas bardzo serdecznie, całowali i obdarzali, czym który z nich posiadał.

W Schwerinie skoszarowano nas i przebywaliśmy tam, jak długo kto chciał. Ja przebywałem przez trzy tygodnie, po czym otrzymałem zaświadczenie, że mogę spokojnie wracać do domu. Zaświadczenie to mógł każdy i w każdej chwili otrzymać, przy czym mógł dowolnie obierać kierunek, w którym chce iść – na zachód, czy też na wschód. Ja wybrałem się do rodziny do Krakowa, gdzie dotąd przebywam. Drogę odbyłem zupełnie spokojnie, bez przeszkód ze strony jakichkolwiek władz.

Na tym protokół zakończono i jako zgodny z treścią zeznań świadka Stanisława Jabłońskiego po odczytaniu podpisano.